

Autorka serii SIEDEM SIÓSTR

LUCINDA RILEY

POKÓJ
MOTYLI

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE BUTTERFLY ROOM

Copyright © Lucinda Riley 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2019

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcia na okładce: Ironika/Shutterstock.com (*kobieta*),
© Lee Avison/Arcangel Images (*tło*), Julia Ardanar/Shutterstock.com (*kwiaty*),
Tipliyashina Evgeniya/Shutterstock.com (*motyle*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Dom Admirala

Southwold, Suffolk

Czerwiec 1943 roku

– Pamiętaj, kochanie, jesteś wróżką, cichutko unosząc się na delikatnych skrzydełkach wśród traw, by złowić zdobycz w jedwabne sieci. Patrz! – szepnął mi do ucha. – Jest, na brzegu tamtego liścia. Podfruć po niego!

Tak jak mnie uczył, zamknęłam na kilka sekund powieki i wspięłam się na palce, wyobrażając sobie, że moje małe stopy odrywają się od ziemi. A potem poczułam, jak dłoń ojca popycha mnie leciutko naprzód. Otworzyłam oczy, skupiłam wzrok na parze hiacyntowoniebieskich skrzydełek i podleciałam te dwa kroczyki, by zarzucić siatkę na delikatne płatki budlei, na której właśnie przysiadł modraszek arion.

Ruch powietrza, gdy sieć lądowała na celu, sprawił, że motyl stworzył skrzydła, gotując się do ucieczki. Jednak było za późno, bo ja, Posy, księżniczka wrózek, już go miałam. Oczywiście nie groziła mu żadna krzywda. Schwytaliśmy go tylko po to, by Lawrence, król baśniowej krainy – a przy tym mój ojciec – go zbadał. Potem motyl zostanie ugoszczony czarką najlepszego nektaru i wypuści się go na wolność.

– Ależ z ciebie mądra i zręczna dziewczynka – pochwalił mnie tata, gdy wróciłam do niego spośród zarośli i z dumą podałam mu siatkę.

Przykucnął, a nasze oczy – które, jak mówili wszyscy, były bardzo podobne – się spotkały. Malowały się w nich takie same zachwyty i radość.

Patrzyłam, jak ojciec pochyla głowę, by przyjrzeć się motylowi, który pozostawał nieruchomy – malutkie nóżki kurczowo trzymały się białych sieci więzienia. Włosy taty były w kolorze ciemnego mahoni, a olejek, którym je przyglądał, sprawiał, że błyszcząły w słońcu jak świeżo wypolerowany przez Daisy blat długiego stołu. I pachniały cudownie – nim i spokojem, bo ojciec był w domu, a ja kochałam go bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek w świecie, tym ludzkim i tym baśniowym. Oczywiście Maman też kochałam, ale choć ona prawie zawsze była tutaj, miałam wrażenie, że jej nie znam tak dobrze jak taty. Często zamykała się u siebie w pokoju, bo miała coś, co się nazywa migreną, a kiedy wreszcie to przechodziło, zawsze była zbyt zajęta, by spędzać czas ze mną.

– Jest fantastyczny, kochanie! – powiedział tata, podnosząc na mnie wzrok. – Prawdziwa rzadkość na tym wybrzeżu. Bez wątpienia pochodzi ze szlacheckiego rodu – dodał.

– Może to motyli książkę? – podesunęłam.

– To bardzo prawdopodobne – przyznał tata. – Musimy traktować go z wielkim szacunkiem, tak jak tego wymaga jego arystokratyczny status.

– Lawrence, Posy... lunch! – zawołał głos zza krzewów.

Tata wstał i wyprostował się, by wynurzyć się z krzaków buclei i pomachać w kierunku leżącego za rozległą połącią trawy tarasu Domu Admirala.

– Już idziemy, kochanie! – krzyknął, bo byliśmy dość daleko.

Patrzyłam, jak mruży oczy w uśmiechu na widok żony, mojej matki, nieświadomej, że jest królową baśniowej krainy. Tylko ja i tata wiedzieliśmy o tej naszej zabawie.

Wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy w kierunku domu, wdychając zapach świeżo ściętej trawy, który kojarzył mi się z radosnymi dniami w ogrodzie: przyjaciele mamy i taty, w jednej dłoni kieliszek szampana, w drugiej młotek do gry w krykieta, uderzenia posyłające piłkę daleko po trawniku, który tata krótko strzygł na takie okazje...

Takie miłe chwile zdarzały się rzadziej, odkąd zaczęła się

wojna. Tym cenniejsze zdawały się więc wspomnienia o nich. Wojna sprawiła też, że tata kulał. Musieliśmy iść wolniej. Dla mnie to nie był problem. Dzięki temu mogłam mieć tatę dłużej tylko dla siebie. Czuł się już dużo lepiej niż wtedy, gdy wrócił do domu ze szpitala. Z początku musiał używać wózka inwalidzkiego, jak staruszek, i miał takie poszarzałe oczy. Ale Maman i Daisy opiekowały się nim, a ja czytałam mu swoje książeczki i szybko wracał do zdrowia. Teraz nie potrzebował już nawet laski, chyba że wybierał się gdzieś dalej, poza naszą posiadłość.

– Posy, biegnij do domu, umyj ręce i buzię. Powiedz mamie, że muszę zająć się naszym nowym gościem – poinstruował mnie tata, gdy zbliżaliśmy się do schodów wiodących na taras.

– Dobrze, tato.

Skręcił i poszedł dalej przez trawnik, by po chwili zniknąć za wysokim żywopłotem. Kierował się do rotundy, która ze swoją wieżyczką z żółtej piaskowej cegły była najpiękniejszym baśniowym zamkiem dla baśniowych ludzi i ich przyjaciół, motyli. Tata spędzał tam sporo czasu. Sam. Mnie wolno było zaglądać tylko do niewielkiego okrągłego pomieszczenia za frontowymi drzwiami, gdy Maman prosiła, żebym zawołała tatę na obiad. Było tam bardzo ciemno i pachniało stęchłymi skarpetkami.

W tym miejscu tata przechowywał swój, jak to nazywał, „zewnątrzny ekwipunek”. Rakiety tenisowe walały się przy ścianach wraz ze słupkami do krykieta i ubłoconymi kaloszami. Nigdy nie zostałam zaproszona na górę, dokąd prowadziły kręte schody, wijące się aż do szczytu (wiedziałam o tym, bo po kryjomu weszłam kiedyś po nich, gdy Maman zawołała tatę, by odebrał w domu telefon). Byłam bardzo rozczarowana, bo zdążył zamknąć duże dębowe drzwi, które odkryłam na górze. Choć swoimi małymi dłońmi z całych sił starałam się przekreślić gałkę, trzymały mocno. Wiedziałam, że w odróżnieniu od pomieszczenia na dole, górny pokój ma wiele okien, bo widać je było z zewnątrz. Rotunda przypominała mi trochę latarnię morską w Southwold, tyle że ze złotą koroną na szczycie zamiast jaskrawo świecących lamp.

Kiedy wchodziłam na schody tarasu, patrząc na piękne ja-

sne ceglane ściany naszego domu, z rzędami okien, wokół których wiły się jasnozielone pędy glicynii, westchnęłam radośnie. Do lunchu było nakryte na zewnątrz. Na stole z kutego żelaza, pozieleniałym ze starości, zauważyłam tylko trzy podkładki i szklanki na wodę, co oznaczało, że zjemy sami. Bardzo wyjątkowa sytuacja. Pomyślałam, że wspañiale będzie mieć i Maman, i tatę wyłącznie dla siebie. Weszłam przez szerokie drzwi do salonu i pobiegłam między pokrytymi jedwabnym adamaszkiem kanapami, które stały przed ogromnym kominkiem o marmurowym obramowaniu – był tak wielki, że zeszej Gwiazdki Święty Mikołaj zdołał tamtędy przepchać błyszczący czerwony rower. Potem śmignęłam labiryntem korytarzy do toalety na parterze. Zamknęłam za sobą drzwi, po czym obiema dłońmi odkręciłam duży srebrny kran i dokładnie umyłam ręce. Stałam na palcach i przejrzałam się w lustrze, żeby sprawdzić, czy nie mam ubrudzonej buzi. Maman przywiązywała wielką wagę do wyglądu – tata mówił, że to z powodu jej francuskiego pochodzenia. Jeśli siadaliśmy do stołu byle jak ubrani czy nieuczescani, kończyło się to wielką burą.

Jednak nawet ona nie umiała poradzić sobie z moimi brązowymi niesfornymi lokami, które wiecznie wymykały mi się z ciasno splecionych warkoczyków, pojawiały się przy szyi i wyskakiwały spod spinek, które miały je trzymać z daleka od czoła. Kiedy tata któregoś wieczoru układał mnie do snu, poprosiłam, żeby pożyczył mi trochę swojego olejku, bo myślałam, że to pomoże. Ale on tylko się roześmiał, nakręcając sobie na palec jeden z moich loków. „Nie będziesz tego używała – powiedział. – Uwielbiam twoje kręcone włosy, kochanie, i gdyby to ode mnie zależało, zawsze nosiłabyś je rozpuszczone”.

Idąc przez korytarz, znów pomyślałam, że bardzo chciałabym mieć takie włosy jak Maman. Gładkie, proste, blond. W kolorze białych czekoladek, które podawała do kawy po obiedzie. Moje były bardziej jak *café au lait*. Tak przynajmniej mówiła Maman. Mnie ich kolor wydawał się mysi.

– Jesteś wreszcie – powiedziała Maman, kiedy wyszłam na taras. – Gdzie masz kapelusz?

– Och, musiałam go zostawić gdzieś w ogrodzie, kiedy łapa-
liśmy z tatą motyle.

– Ile razy mówiłam ci, że spalisz twarz i pomarszczysz się
jak stare jabłko – skarciła mnie, gdy usiadłam. – Będziesz wyglą-
dała na sześćdziesiąt lat, mając czterdzieści.

– Tak, mamó – przyznałam, myśląc, że czterdzieści to też
strasznie dużo i wtedy na pewno nie będę się już tym przejmowa-
wać.

– Jak się ma w ten piękny dzień druga z moich najukochań-
szych kobiet?

Na tarasie pojawił się tata i z takim impetem porwał mamę
w ramiona, że o mało nie upuściła na szarą kamienną posadzkę
dzbanek z wodą, który trzymała w rękach.

– Uważaj, Lawrence! – upomniała go, marszcząc brwi, nim
wyrwała się z jego uścisku i postawiła dzbanek na stole.

– Czy to nie cudowny dzień, żeby żyć? – Uśmiechnął się do
niej i usiadł naprzeciw mnie. – Zapowiada się też piękna pogoda
na weekend i na nasze przyjęcie.

– Urządzamy przyjęcie? – zainteresowałam się, gdy mama
zajmowała miejsce obok niego.

– Tak, kochanie. Uznano, że twój ojciec jest już dość sprawn-
ny, by wrócić do swoich obowiązków, więc razem z mamą posta-
nowiliśmy zabawić się trochę, póki tu jestem.

Serce mi zamarło. Daisy – nasza gosposia do wszystkiego,
bo reszta służby odeszła, by w związku z wojną spełnić swoją
obywatelską powinność – podała mięso i rzodkiewki. Nie zno-
siłam rzodkiewek, ale tylko to zostało teraz w naszym ogrodzie
warzywnym, bo większość z tego, co tam rośło, też pochłonęła
wojna.

– Na jak długo wyjedziesz, tatusiu? – spytałam piskliwym
głosem, bo strasznie ścisnęło mnie w gardle, zupełnie jakby
utknęła mi tam rzodkiewka. Wiedziałam, że lada chwila mogę
się rozpłakać.

– Och, teraz to już nie potrwa długo. Wszyscy wiedzą, że
barbarzyńcy skazani są na przegraną, ale muszą pomóc w zada-
niu ostatniego pchnięcia. Nie mogę zawieść moich towarzyszy

broni, prawda?

– No tak, tato – zdołałam wydukać bez przekonania. – Ale nie zostaniesz znów ranny?

– Nie, *chérie*. Twój tata jest niezniszczalny, prawda, Lawrence?

Patrzyłam, jak mama zmusza się do lekkiego uśmiechu, zerkając na ojca, i pomyślałam, że ona martwi się tak samo jak ja.

– Racja, kochanie – potwierdził, kładąc dłoń na jej ręce i ścisnął ją. – Nic złego mi się nie stanie.

*

– Tatusiu? – zagadnęłam ojca następnego dnia przy śniadaniu, ostrożnie maczając w jajku paski grzanek. – Tak dziś gorąco. Moglibyśmy pojechać na plażę? Dawno tam nie byliśmy.

Widziałam, jak tata zerknął na mamę, ale ona czytała właśnie swoje listy nad filiżanką *café au lait* i chyba tego nie zauważyła. Zawsze dostawała mnóstwo listów z Francji. Napisanych na cieniutkim papierze, cieńszym nawet od skrzydeł motyli. To pasowało do Maman, bo wszystko w niej było delikatne i filigranowe.

– Tatusiu? I co z tą plażą? – nie dawałam za wygraną.

– Kochanie ty moje... Obawiam się, że na razie plaża to niewłaściwe miejsce do zabawy. Pełno tam drutów kolczastych i min. Pamiętasz, jak tłumaczyłem ci, co się stało w Southwold w zeszłym miesiącu?

– Tak, tato.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie tego, jak Daisy zaprowadziła mnie do schronu Andersona (myślałam wtedy, że nazywa się tak, bo to nasze nazwisko, i bardzo się zdziwiłam, kiedy Mabel powiedziała mi, że jej rodzina też ma schron Andersona, a przecież oni nazywali się Price). Miałam wrażenie, że na niebie szaleje burza, przez te grzmoty i błyskawice, ale tatuś powiedział, że to nie Bóg je zesłał, tylko Hitler. W schronie siedzieliśmy skuleni, jedno obok drugiego. Tata zaproponował, byśmy udawali, że jesteśmy rodziną jeży, i żebym się zwinęła w kłębek jak małe jeżátko. Maman rozgniewała się na niego, że nazwał

mnie jeżądkiem, ale ja już je udawałam. Zwierzaczka, który kryje się pod ziemią, gdy na jej powierzchni walczą ludzie. Wreszcie okropne hałasy ustały. Tata powiedział, że możemy wracać do łózek, a mnie smutno było znów kłaść się do mojego człowieczego łóżka, samej. Wolałabym zostać razem z rodzicami w naszej norce.

Następnego ranka zastałam w kuchni płaczącą Daisy, ale nie chciała wyjaśnić, o co chodzi. Tego dnia nie przyjechał mleczarz, a potem mama oznajmiła, że nie idę do szkoły, bo już jej nie ma.

– Ale jak to, Maman?

– Spadła na nią bomba, *chérie* – odparła, wydmuchując dym z papierosa.

Teraz też paliła. Czasami się bałam, że od tego zajmą się te jej listy, bo czytając, trzymała je blisko twarzy.

– A co będzie z naszą chatką na plaży? – zwróciłam się do taty.

Uwielbiałam ten domek, pomalowany na kremowo, stojący na końcu szeregu, więc kiedy patrzyło się we właściwą stronę, można było wyobrazić sobie, że jesteśmy jedynymi osobami na plaży. Ale jak się spojrzało w odwrotnym kierunku, to całkiem niedaleko widziało się miłego lodziarza przy moło. My z tatą zawsze budowaliśmy najwspanialsze zamki z piasku. Z wieżyczkami i fosami. Dość duże, by zamieszkały w nich małe kraby, które zdecydowały się do nich zbliżyć. Maman nigdy nie chciała iść na plażę. Twierdziła, że „za dużo tam piasku”, a ja myślałam, że to tak, jakby narzekać na ocean, że za dużo w nim wody.

Za każdym razem, kiedy się tam wybraliśmy, widywaliśmy starego człowieka w kapeluszu z szerokim rondem, spacerującego wolno po piasku i dziobiącego go długą laską, ale nie taką, jakiej używał tata do chodzenia. Mężczyzna miał dużą torbę w dłoni. Od czasu do czasu zatrzymywał się i zaczynał kopać.

– Co on robi, tato? – spytałam kiedyś.

– Przeczesuje piasek, kochanie. Chodzi brzegiem i szuka wyrzuconych przez morze rzeczy ze statków albo przyniesionych przez fale z innych łądów.

– Rozumiem – powiedziałam, choć mężczyzna nie miał nic

w rodzaju grzebienia, a już na pewno nie takiego, jakim co ranka szarpała moje włosy Daisy. – Myślisz, że odkryje jakiś skarb?

– Jestem pewien, że jeśli będzie cierpliwy, to pewnego dnia coś znajdzie.

Patrzyłam z ciekawością, jak mężczyzna wyciąga coś z dołka i otrzepuje to z piasku. Jednak okazało się, że to tylko stary emaliowany czajnik.

– Szkoda... – rzuciłam z westchnieniem.

– Pamiętaj, kochanie, że coś, co jednemu wydaje się śmieciem, dla kogoś innego może być cenne jak złoto. Możliwe, że my wszyscy jesteśmy takimi poszukiwaczami – powiedział tata, mrużąc oczy od słońca. – Nie dajemy za wygraną, stale mamy nadzieję, że odnajdziemy ten wymykający się, ukryty skarb, który wzbogaci nasze życie, a kiedy odkrywamy czajnik zamiast mieniącego się klejnotu, musimy szukać dalej.

– Ty dalej szukasz skarbu, tato?

– Nie, moja księżniczko wróżek. Ja go znalazłem. – Uśmiechnął się do mnie z góry i pocałował mnie w czubek głowy.

*

Wierciłam tacie dziurę w brzuchu, aż wreszcie się poddał i zdecydował, że zabierze mnie nad rzekę popływać, więc Daisy pomogła mi włożyć kostium kąpielowy i wcisnęła kapelusz na moje loki. Wsiadłam do samochodu taty. Maman powiedziała, że musi się zająć przygotowaniami do jutrzejszego przyjęcia i nie pojedzie. Mnie to pasowało, bo w takim razie król baśniowej krainy i ja mogliśmy zaprosić do naszej świąty wszystkie rzeczne istoty.

– Czy tam są wydry? – spytałam, gdy jechaliśmy przez zielone wzgórza, oddalając się od morza.

– Żeby je zobaczyć, trzeba być bardzo cicho – powiedział tata. – Dasz sobie z tym radę, Posy?

– Oczywiście!

Jechaliśmy długo, nim dostrzegłam niebieską wstęgę rzeki wijącą się między trzcinami. Tata zaparkował i ruszyliśmy na brzeg. On niósł nasz naukowy ekwipunek – aparat fotograficz-

ny, siatki na motyle, szklane słoje, lemoniadę i kanapki z peklowaną wołowiną.

Ważki muskały tafelę rzeki, ale szybko się ulotniły, kiedy chlapiąc, wbiegłam do wody. Była cudownie chłodna, ale głowa i twarz aż mnie paliły z gorąca pod kapeluszem, więc odrzuciłam go na brzeg, gdzie tata już się przebrał w kąpielówkę.

– Jeśli były tu jakieś wydry, to przez ten hałas na pewno pociekały – powiedział, wchodząc do wody. Sięgała mu ledwie do kolan, taki był wysoki. – Patrz na te pływacze, zabierzemy coś z tego do naszej kolekcji?

Razem zanurzyliśmy ręce i wyciągnęliśmy jeden z żółtych kwiatów. Roślina miała bulwiaste korzenie i mieszkało w niej mnóstwo malutkich owadów. Napełniliśmy słoje wodą i włożyliśmy do niego nasz okaz, by bezpiecznie przetransportować go do domu.

– Pamiętasz łacińską nazwę, kochanie?

– *Utri-cu-la-ria!* – odparłam dumnie, wychodząc z wody i siadając obok taty na porośniętym trawą brzegu.

– Mądra dziewczynka. Obiecuj, że będziesz wzbogacać naszą kolekcję. Jeśli zobaczysz jakąś interesującą roślinę, zasusz ją, tak jak ci pokazywałem. Przyda mi się pomoc przy mojej książce, skoro wyjeżdżam.

Podał mi kanapkę z koszyka, a ja wzięłam ją, starając się sprawiać wrażenie bardzo poważnej i uczonej osoby. Chciałam, by tata wiedział, że może na mnie liczyć. Był przed wojną kimś, kogo nazywa się botanikiem. Pracował nad swoją książką prawie tak długo, jak żyłam. Często zamykał się w swojej rotundzie, by „myśleć i pisać”. Czasami przynosił rysunki do domu i mi je pokazywał.

Były cudowne. Tata wyjaśniał, jak funkcjonuje środowisko, w którym żyjemy. Piękne ilustracje przedstawiały motyle, owady i rośliny. Tata powiedział mi kiedyś, że gdy zmienia się jedna rzecz, może to zburzyć całą równowagę.

– Popatrz choćby na nie. – Wskazał pewnej gorącej letniej nocy na denerwującą chmarę muszek. – Są niezbędne dla ekosystemu.

– Ale nas gryzą – odparłam, oganiając się od nich.

– Taka już ich natura. – Roześmiał się. – Jednak bez nich mnóstwo gatunków ptaków nie miałoby dość pożywienia i ich populacja bardzo by się zmniejszyła. A kiedy tak się dzieje, ma to konsekwencje dla reszty łańcucha pokarmowego. Bez ptaków inne owady, jak koniki polne, nagle miałyby mniej wrogów, namnożyłyby się i wyjadły całą roślinność. A bez roślinności...

– ...głodowałiby żercy roślin.

– Gatunki roślinożerne, tak. Jak widzisz, wszystko opiera się na bardzo kruchej równowadze. I jeden trzepot motyli skrzydeł może odmienić cały świat.

Zastanawiałam się nad tym teraz, jedząc kanapkę.

– Mam dla ciebie coś wyjątkowego. – Tata sięgnął do plecaka, wyjął z niego błyszczące metalowe pudełko i mi je podał.

Otworzyłam wieczko i zobaczyłam w środku kilkadziesiąt idealnie zatemperowanych kredek we wszystkich kolorach tęczy.

– Kiedy wyjadę, musisz dalej rysować, żebym po powrocie mógł zobaczyć twoje postępy.

Skinęłam głową, tak uradowana z prezentu, że nie potrafiłam wykrztusić słowa.

– Na studiach w Cambridge uczono nas naprawdę przyglądać się światu – ciągnął. – Tylu ludzi jest ślepych na piękno i magię tego, co nas otacza. Ale nie ty, Posy. Ty już widzisz dużo więcej niż większość osób. Rysując, zaczynamy pojmować przyrodę. Dostrzegamy jej poszczególne elementy i jak są ze sobą połączone. Przedstawiając to i badając, możesz pomóc także innym zrozumieć cud natury.

*

Kiedy wróciliśmy do domu, Daisy złażała mnie za to, że mam mokre włosy, i wpakowała mnie do wanny, co wydało mi się bez sensu, bo przecież zmoczyła mi włosy ponownie. Gdy wreszcie położyła mnie do łóżka i zamknęła za sobą drzwi, wstałam i wyjęłam moje nowe kredki. Gładziłam delikatne, choć ostro zatemperowane czubki. Pomyślałam, że jeśli będę pilnie pracować nad

rysunkami, to kiedy tata wróci z wojny, pokażę mu, że jestem dość dobra, by też studiować w Cambridge, nawet jeśli jestem dziewczyną.

Następnego ranka obserwowałam z okna swojej sypialni, jak przed nasz dom podjeżdżają samochody. Każdy wyładowany pasażerami do granic możliwości. Słyszałam, jak Maman opowiadała, że jej przyjaciele musieli zebrać wszystkie swoje kupony na benzynę, by ściągnąć tu z Londynu. Nazywała ich *émigrés*. Od zawsze mówiła do mnie po francusku, dlatego wiedziałam, że to oznacza „emigranci”. Według słownika chodzi o ludzi, którzy przeprowadzili się ze swojego kraju do innego. Maman twierdziła, że właściwie cały Paryż przeniósł się do Londynu, by uciec od wojny. Oczywiście rozumiałam, że to nieprawda, ale i tak na naszych przyjęciach zawsze było więcej francuskich przyjaciół mamy niż angielskich taty. Mnie to nie przeszkadzało. Byli tacy barwni – mężczyźni w jaskrawych szalikach i kolorowych marynarkach smokingowych, panie w satynowych sukniach, z umalowanymi na czerwono ustami. A co najlepsze – zawsze mi coś przywozili, więc to było jak Gwiazdka.

Tata nazywał ich „cyganerią Maman”, a jak wyjaśniał słownik, cyganeria to ludzie twórczy, artyści, muzycy i malarze. Maman była niegdyś pieśniarką w znanym paryskim klubie nocnym. Uwielbiałam słuchać, jak śpiewa. Miała niski, aksamitny głos, kojarzący mi się ze stopioną czekoladą. Oczywiście ona nie wiedziała, że słucham, bo przecież powinnam spać, ale kiedy w domu przyjmowano gości, to było i tak niemożliwe, więc ukradkiem schodziłam do połowy schodów, by słuchać muzyki i rozmów. Odnosiło się wrażenie, że w takie wieczory Maman ożywa, tak jakby pomiędzy nimi udawała martwą lalkę. Uwielbiałam słuchać, jak się śmieje, bo rzadko jej się to zdarzało, kiedy byliśmy sami.

Latający koledzy taty też byli mili, choć wszyscy ubierali się jednakowo, w granaty i brązy, więc trudno ich było odróżnić. Najbardziej ze wszystkich lubiłam mojego ojca chrzestnego, Ralpa, najlepszego przyjaciela taty. Uważałam, że jest bardzo przystojny. Miał ciemne włosy i duże piwne oczy. W jednej z

moich książek był obrazek, jak książkę całuje Śnieżkę i ją budzi. Ralph wyglądał dokładnie tak jak on. Pięknie też grał na fortepianie – przed wojną był pianistą i dawał koncerty (właściwie każdy dorosły, którego znałam, był przed wojną kimś innym, poza Daisy, naszą gosposią). Wujek Ralph chorował na coś, przez co nie mógł walczyć na wojnie i latać. Przypadła mu praca „za biurkiem”, jak to określali dorośli. Nie bardzo umiałam sobie wyobrazić, co można robić za biurkiem, poza tym, że się za nim siedzi – i pewnie właśnie tak wyglądało zajęcie wujka. Kiedy taty nie było, bo latał na swoich spitfire’ach, wujek często wpadał w odwiedziny. I Maman, i ja zawsze cieszyłyśmy się na jego przyjazd. Jadł z nami niedzielny lunch, a potem dla nas grał. Ostatnio uświadomiłam sobie, że z siedmiu lat mojego życia na tej ziemi tata spędził pięć na wojnie. Mamie musiało być smutno. Miała przy sobie tylko mnie i Daisy.

Siedziałam przy oknie i wyciągając szyję, podglądałam Maman, która witała gości na schodach prowadzących do drzwi frontowych pod moim pokojem. Wyglądała przepięknie, w sukni szafirowej jak jej śliczne oczy. A kiedy przyłączył się do niej tata i objął ją w pasie, poczułam, że rozpiera mnie radość. Przyszła Daisy, by ubrać mnie w nową sukienkę, którą uszyła mi ze starych zielonych zasłon. Gdy rozczesła mi włosy i częściowo związała je z tyłu zieloną wstążką, postanowiłam, że nie będę myślała o tym, że tata jutro wyjeżdża, a w Domu Admirala i między nami znów zapanuje cisza jak przed burzą.

– Gotowa? Idziemy na dół? – spytała Daisy.

Popatrzyłam na jej zarumienione policzki. Pociła się. Wiedziałam, że jest bardzo zmęczona, pewnie przez ten upał, a poza tym musiała przecież sama, bez niczyjej pomocy, przygotować jedzenie dla całej chmary gości. Uśmiechnęłam się do niej promiennie.

– Tak, Daisy, chodźmy.

*

Tak naprawdę miałam na imię nie Posy, ale Adriana, po mojej matce. Jednak by uniknąć nieporozumień, o kogo chodzi, i

żebyśmy nie odpowiadały obie naraz, zdecydowano się używać mojego drugiego imienia, Rose, które otrzymałam po swojej angielskiej babce. Od Daisy dowiedziałam się, że kiedy byłam ma-lutka, tata zaczął mówić do mnie „Rosy Posy”, i jakoś z czasem pozostało tylko to drugie. A ja uznałam, że pasuje do mnie dużo bardziej niż którekolwiek z prawdziwych imion.

Niektórzy za starszych krewnych ojca nadal zwracali się do mnie „Rose” i oczywiście odpowiadałam, bo nauczono mnie, żeby zawsze zachowywać się grzecznie wobec dorosłych, ale na przyjęciach wszyscy znali mnie jako Posy. Ściskali mnie, całowali i dawali mi przewiązane wstążeczkami paczuszki słodczy. Francuscy przyjaciele Maman przynosili mi zwykle migdały w cukrze, których, tak szczerze mówiąc, specjalnie nie lubiłam, ale wiedziałam, jak trudno o czekoladę podczas wojny.

Kiedy siedziałam przy stole ustawionym na tarasie, by wszyscy się pomieścili, czułam, jak słońce praży na mój kapelusz (od którego było mi tylko jeszcze bardziej gorąco), i przysłuchiwa-łam się rozmowom dorosłych. Pragnęłam, żeby zawsze tak tutaj było. Z Maman i tatą siedzącymi pośrodku, niczym król i królo-wa na dworze. On trzymał dłoń na jej bladym ramieniu. Oboje sprawiali wrażenie tak szczęśliwych, że aż chciało mi się płakać.

– Wszystko w porządku, Posy, kochanie? – zapytał wujek Ralph zajmujący miejsce obok mnie. – Strasznie tu gorąco – do-dał, wyciągając z kieszeni marynarki nieskazitelnie białą chus-teczkę i ocierając nią czoło.

– Tak, wujku. Myślałam tylko, jacy szczęśliwi wydają się dziś Maman i tata. I jakie to smutne, że on musi wracać na wojnę.

– To prawda.

Patrzyłam, jak wujek Ralph spogląda na moich rodziców, i dostrzegłam, że nagle posmutniał.

– Ale jeśli wszystko pójdzie jak należy, to już niedługo woj-na się skończy – dodał po chwili. – I każdy będzie mógł wrócić do swojego życia.

*

Po lunchu pozwolono mi pograć trochę w krykieta. Szło mi

zaskakująco dobrze. Może dlatego, że większość dorosłych wy-
piła sporo wina i ich piłki nie były celne. Słyszałam, jak wczes-
niej tata mówił, że na tę okazję wyciągnie z piwnicy resztki za-
pasów wina, i chyba nasi goście wysączyli już niemało butelek.
Naprawdę nie pojmowałam, po co dorośli chcą się upijać, bo
według mnie, po alkoholu stawali się tylko bardziej hałaśliwi i
głupsi. Ale myślałam, że może zrozumieć to, jak dorosnę. Idąc
trawnikiem do kortu, zobaczyłam leżącego pod drzewem męż-
czynę z dwiema kobietami w objęciach. Wszyscy troje mocno
spali. Ktoś grał na saksofonie, stojąc samotnie na tarasie. Jak to
dobrze, stwierdziłam w duchu, że nie mamy bliskich sąsiadów.

Wiedziałam, że to szczęście mieszkać w Domu Admirala.
Gdy zaczęłam naukę w tutejszej szkole, zaprzyjaźniłam się z
Mabel i pewnego razu zostałam zaproszona do niej na podwie-
czorek. Zdumiało mnie, że w jej domu drzwi frontowe prowadzą
od razu do pokoju dziennego. Dalej mieściła się malutka kuch-
nia, a toaleta była na zewnątrz! Mabel miała rodzeństwo. Ona,
bracia i siostry, cała piątka, spali w jednym ciasnym pokoju na
górze. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że pochodzę z boga-
tej rodziny i że nie każdy mieszka w wielkim domu z parkiem za-
miast ogródka. To był prawdziwy szok. Kiedy przyszła po mnie
Daisy, żeby mnie zabrać do domu, spytałam ją, dlaczego tak jest.

– To jak los na loterii, Posy – powiedziała ze swoim miękkim
akcentem z Suffolk. – Niektórzy mają szczęście, inni nie.

Daisy bardzo lubiła rzucać takim powiedzonkami. Sensu
połowy z nich nie rozumiałam, ale cieszyłam się, że los mi sprzy-
ja, i postanowiłam, że teraz będę mocniej modlić się za tych, któ-
rym się nie powiodło.

Wydawało mi się, że moja nauczycielka, panna Dansart,
niezbyt mnie lubi. Choć zachęcała nas wszystkie, żebyśmy się
zgłaszały, jeśli znamy odpowiedź na jakieś pytanie, to zwykle ja
pierwsza podnosiłam rękę. Przewracała oczami i dziwnie wy-
dymała usta, cedząc znużonym tonem: „Tak, Posy?”. Raz na
boisku, kręcąc skakanką, przez którą przeskakiwały koleżanki,
usłyszałam, jak mówi do innej nauczycielki:

– Jedyńaczka... wychowywana wśród samych dorosłych...

przemądrzała...

Po powrocie do domu zajrzałam do słownika. Od tamtej pory przestałam podnosić rękę, choćby nie wiem jak cisnęła mi się na usta odpowiedź.

*

O szóstej wszyscy się ocknęli i poszli się przebrać do kolacji. Zajrzałam do kuchni, gdzie Daisy wskazała mi mój posiłek.

– Dzisiaj dla ciebie chleb z dżemem, panno Posy. Pan Ralph przyniósł mi do sprawienia dwa łososie, a ja jestem już tak skołowana, że nie wiem, gdzie mają głowę, a gdzie ogon.

Zaśmiała się ze swojego dowcipu. Nagle zrobiło mi się jej żal. Musiała tak ciężko pracować.

– Mogłabym ci w czymś pomóc?

– Dwójka dzieci Marjory przyjdzie wieczorem ze wsi, by nakryć do stołu i podawać, więc sobie poradzę. Ale dziękuję, że pytasz. – Uśmiechnęła się do mnie. – Dobra z ciebie dziewczynka.

Kiedy dopiłam herbatę, wymknęłam się z kuchni, nim Daisy zdążyła powiedzieć, że mam iść na górę i szykować się do spania. Wieczór był piękny i chciałam się nim jeszcze trochę nacieszyć. Gdy wyszłam na taras, zobaczyłam, że słońce jest tuż nad koronami dębów, a jego promienie rzucają złotawe refleksy na trawę. Ptaki śpiewały, jakby to było dopiero południe, i nadal było tak ciepło, że nie potrzebowałam swetra. Przysiadłam na stopniach, naciągając bawełnianą sukienkę na kolana, i zaczęłam obserwować rusałkę admirała, która przycupnęła na jednym z kwiatów klombu opadającego w kierunku ogrodu. Zawsze myślałam, że nasz dom wziął nazwę od motyli, które tak ślicznie fruwały wśród zieleni. Bardzo się zmartwiłam, kiedy Maman powiedziała mi, że nazwano go tak przez wzgląd na mojego praprapra... (chyba trzy razy „pra”, ale może i cztery) ...dziadka, który był admirałem marynarki, a to wydało mi się już dużo mniej romantyczne.

Choć tata mówił, że admirały są tu gatunkiem „pospolitym” (Maman podobnie wyrażała się o niektórych dzieciach z mojej klasy), to ja uważałam, że to najpiękniejsze motyle na świecie, z

tymi jaskrawoczerwonymi paskami na czarnych skrzydełkach. Ten wzór skojarzył mi się ze spitfire'ami, którymi tata latał na wojnie. Zrobiło mi się smutno, bo przypomniałam sobie, że jutro znów wyjeżdża, by nimi latać.

– Cześć, córeczko, co ty tu robisz sama?

Na te jego słowa aż podskoczyłam, bo przecież właśnie o nim myślałam. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak idzie do mnie przez taras. Palił papierosa, ale zaraz rzucił go na ziemię, przydeptał butem i zgasił. Wiedział, że nie znoszę zapachu dymu.

– Tato, nie mów Daisy, że mnie tu widziałeś, dobrze? Bo ona zaraz odeśle mnie do łóżka – powiedziałam szybko, gdy siadał obok mnie na stopniu.

– Nie powiem, słowo. Poza tym, kto by szedł spać w tak piękny wieczór? Moim zdaniem najładniejszy miesiąc w Anglii to czerwiec. Cała natura wraca w pełni do życia po długim zimowym śnie. Przeciągnęła się, ziewnęła i rozwinęła swoje liście i kwiaty, żebyśmy my, ludzie, mogli się nimi cieszyć. W sierpniu ta energia jest już przepalona słońcem i szykuje się do kolejnego snu.

– Tak jak my, tato – zauważyłam. – W zimie lubię spać.

– No właśnie, kochanie. Nigdy nie zapominaj, że jesteśmy nieodłączną częścią przyrody.

– Biblia mówi, że Bóg stworzył wszystko na ziemi – oznajmiłam z powagą, bo uczyłam się o tym na lekcjach religii.

– No tak, choć trudno mi uwierzyć, że zdołał tego dokonać zaledwie w siedem dni – odparł ze śmiechem tata.

– Na tym polega cud, prawda? To tak jak ze Świętym Mikołajem, który potrafi w jedną noc obdarować wszystkie dzieci na świecie.

– Masz rację, Posy, oczywiście. Świat to magiczne miejsce i musimy doceniać swoje szczęście, że jest nam dane tu żyć. Pamiętaj o tym zawsze, dobrze?

– Dobrze, tato. Tato?

– Tak, Posy?

– O której jutro wyjeżdżasz?

– Muszę zdążyć na pociąg po lunchu.

Wbiłam wzrok w swoje czarne lakierki.

– Martwię się, że znów możesz zostać ranny.

– Bez obaw. Jak mówi twoja mama, jestem niezniszczalny. –
Uśmiechnął się.

– Kiedy wrócisz?

– Jak tylko dostanę urlop, a to powinno być już niedługo.
Opiekuj się mamą pod moją nieobecność, dobrze? Wiem, że ciężko jej tu samej.

– Zawsze staram się jej pomóc, tato. Ona martwi się tylko dlatego, że za tobą tęskni i cię kocha, prawda?

– Tak, Posy, i ja też ogromnie ją kocham. Jedynie myśl o niej... i o tobie... pomogła mi przetrwać wszystkie te loty. Wiesz, byliśmy dość krótko po ślubie, kiedy zaczęła się ta przekłeta wojna.

– Usłyszałeś ją, jak śpiewa w paryskim klubie, i od razu się w niej zakochałeś. A potem porwałeś ją do Anglii, żeby została twoją żoną, zanim zdążyłaby się rozmyślić – powiedziałam rozmarzona.

Historia miłości moich rodziców była dużo lepsza od wielu bajek, które czytałam.

– Tak, Posy. Miłość działa w życiu cuda. Nawet w najbardziej ponury dzień w środku zimy może tak rozświetlić świat, że wszystko wyda się równie piękne jak teraz. – Tata westchnął głęboko, a potem wziął moją rękę w swoją dużą dłoń. – Obiecuj, że jeśli znajdziesz miłość, będziesz ją pielęgnować i nie pozwolisz jej odejść.

– Obiecuję, tato – zapewniłam i popatrzyłam mu w oczy.

– Grzeczna dziewczynka. A teraz muszę iść przebrać się do kolacji.

Cmoknął mnie w czubek mojej kędzierzawej głowy, wstał i poszedł do domu.

Oczywiście wtedy tego nie wiedziałam, ale to była moja ostatnia poważna rozmowa z ojcem.

*

Tata wyjechał następnego dnia po południu, tak jak i wszy-

scy goście. Tego wieczoru było bardzo gorąco. Trudno było oddychać. Powietrze wydawało się lepkie i ciężkie, jakby ktoś wypompował z niego cały tlen. W domu zapanowała cisza – Daisy wybrała się, jak co tydzień, na herbatę ze swoją przyjaciółką Edith, więc nie było nawet słyszeć, jak zmywając, gdera czy coś sobie nuci (z dwojga złego wolałam już to gderanie). A brudnych naczyń nagromadziło się mnóstwo. Całe ich tace czekały obok zlewu na swoją kolej. Zaproponowałam, że pomogę przy kieliszkach, ale Daisy stwierdziła, że byłoby z tego więcej kłopotu niż pożytku, co wydało mi się bardzo niesprawiedliwe.

Maman położyła się do łóżka natychmiast, kiedy tylko ostatni samochód znikł za kasztanami. Najwyraźniej znów dopadła ją ta jej migrena, choć Daisy powiedziała, że to tylko modna nazwa kaca, cokolwiek oznaczało to słowo. Poszłam do swojego pokoju i zwinęłam się w kłębek na parapecie okna. Znajdowało się ono nad frontowym wejściem do domu. W ten sposób, gdyby ktoś się do nas wybierał, byłabym pierwszą osobą, która to zobaczy. Tata nazywał mnie swoim „małym wartownikiem”. Rzeczywiście, odkąd Frederick, nasz kamerdyner, poszedł na wojnę, to zwykle ja otwierałam drzwi.

Z tego miejsca miałam idealny widok na drogę dojazdową wiodącą między szeregiem bardzo starych kasztanów i dębów. Tata mówił mi, że niektóre zostały posadzone prawie trzysta lat temu, kiedy pierwszy admirał budował ten dom. (Uznałam to za fascynujące, bo oznaczało, że te drzewa żyją prawie pięć razy dłużej od ludzi, jeśli tylko wielka encyklopedia się nie myli i przeciętny wiek życia mężczyzny to sześćdziesiąt jeden lat, a kobiety – sześćdziesiąt siedem). Kiedy mrużyłam oczy i wpatrywałam się uważnie, w pogodny dzień mogłam też dostrzec cienką szarobłękitną linię między koronami drzew a niebem. To było Morze Północne, zaczynające się ledwie siedem kilometrów od Domu Admirała. Przerazająca była myśl, że któregoś dnia, niedługo, może nad nim lecieć małym samolotem mój tata.

– Wróć do domu bezpiecznie, wróć jak najszybciej – szepnęłam do ciemnoszarych chmur, które opadały na zachodzące słońce i zdawało się, że zaraz wycisną je jak soczystą pomarańczę

(dawno już zapomniałam jej smak).

Powietrze stało nieruchome i przez otwarte okno nie wpadał nawet najłżejszy powiew. Usłyszałam w oddali grzmot. Bardzo chciałam wierzyć, że Daisy nie ma racji i że Bóg nie gniewa się na nas. Nigdy nie potrafiłam dociec, który jest prawdziwy – ten karzący surowo Bóg Daisy czy ten łagodny i dobry wikarego. Ale może jak mama lub tata – mógł być na przemian raz taki, raz taki.

Kiedy spadły pierwsze krople deszczu i wkrótce zmieniły się w ulewę, a niebo rozdarły wściekłe błyskawice, miałam tylko nadzieję, że tata dotarł już bezpiecznie do bazy, bo inaczej strasznie by przemókł, a co gorsza, mógł go trafić piorun. Zamknęłam okno, ponieważ parapet zrobił się mokry, i nagle zdałam sobie sprawę, że burczy mi w brzuchu niemal tak głośno, jakby grzmiało. Poszłam więc na dół wziąć sobie chleb z dżemem.

Idąc w ponurym półmroku po szerokich dębowych schodach, pomyślałam, jak tu cicho w porównaniu z wczorajszym dniem. Tak jakby nawiedził nas bzycający, gwarny rój pszczół, który potem nagle się ulotnił. Kolejny grzmot rozległ się nad domem, gwałtownie przełamując ciszę. Co za szczęście, pomyślałam, że nie boję się ciemności ani burzy, ani być sama.

– Jejku, Posy, ale tu strasznie – powiedziała Mabel, kiedy zaprosiłam ją raz na podwieczorek. – Popatrz na te portrety ludzi w dawnych strojach! Sami nieboszczycy. – Wskazała na portrety moich przodków, wiszące przy schodach. – Aż mnie ciarki przechodzą. Bałabym się iść w nocy do łazienki, żeby nie spotkać duchów.

– To moi krewni. Na pewno byliby mili, gdyby wpadli z wizytą – odparłam.

Przykro mi było, że nie spodobał jej się mój ukochany dom.

Teraz, kiedy przez hol i dudniący echem korytarz zmierzałam do kuchni, wcale się nie bałam, choć było już bardzo ciemno, a Maman, która pewnie nadal spała w swoim pokoju na górze, z pewnością nie usłyszałaby moich krzyków.

Wiedziałam, że tu jestem bezpieczna, że w obrębie tych grubych murów nie może stać się nic złego.

Sięgnęłam do kontaktu, by włączyć światło w kuchni, ale najwyraźniej nie było prądu, więc zapaliłam jedną ze świec, które stały na półce. Robiłam to całkiem sprawnie, bo w Domu Admirała nie mogliśmy za bardzo polegać na elektryczności, szczególnie odkąd trwała wojna. Uwielbiałam łagodne migotliwe światło świec, rzucające ciepły blask, w którym nawet najbrzydsi wyglądali ładnie. Wzięłam chleb, który pokroiła mi wcześniej Daisy – mogłam zapalać świece, ale zabraniano mi dotykać ostrych noży – i posmarowałam go grubo masłem i dżemem. Ugryzłam kawałek, zabrałam talerz i świecę i poszłam z powrotem do swojego pokoju obserwować burzę.

Usiadłam na parapecie i jedząc kanapki, myślałam o tym, jak Daisy martwi się o mnie, kiedy ma wolne i gdzieś się wybiera. Zwłaszcza pod nieobecność taty.

– Taka mała dziewczynka nie powinna zostawać w domu sama – mruknęła kiedyś.

Wyjaśniłam jej, że przecież nie zostaję sama, bo jest tu Maman, a poza tym nie jestem „mała”, bo mam już siedem lat, a to całkiem sporo.

– Też coś! – prychnęła, zdejmując fartuch i wieszając go na kołku z tyłu kuchennych drzwi. – Nie przejmuj się tym, co ona powie, tylko w razie potrzeby idź i zbudź ją.

– Dobrze – obiecałam potulnie.

Oczywiście nigdy czegoś takiego nie zrobiłam, nawet jak kiedyś zwymiotowałam na podłogę i strasznie bolał mnie brzuch. Wiedziałam, że Maman będzie się gniewać, jeśli ją obudzę, bo musi się wyspać. W każdym razie nie przeszkadzało mi, że jestem sama, bo odkąd tata pojechał na wojnę, przywykłam do tego. Poza tym w bibliotece miałam całą wielką encyklopedię do czytania. Skończyłam dwa pierwsze tomy, ale zostały mi jeszcze dwadzieścia dwa. Obliczyłam, że starczy mi tego do czasu, aż dorosnę.

Tego wieczoru, bez elektryczności, było za ciemno na czytanie, a świeczka się kończyła, więc patrzyłam w niebo, starając się nie myśleć o tym, że tata wyjechał, bo gdybym tylko zaczęła, łzy polałyby mi się tak szybko jak krople deszczu bębniące w okno.

Nagle coś czerwonego mignęło mi w rogu okiennej ramy.

– O, motyl! Rusałka admirał!

Stałam na parapecie i zobaczyłam, że biedak rozpaczliwie próbuje się schronić przed nawałnicą. Musiałam go ratować, więc bardzo ostrożnie otworzyłam zatrzask górnej szyby i wysunęłam dłoń na zewnątrz. Choć motyl się nie ruszał, dopiero po chwili udało mi się go chwycić palcami, bo starałam się to zrobić bardzo delikatnie, żeby nie uszkodzić jego kruchych skrzydełek, które teraz były złożone, mokre i śliskie.

– Mam cię. – Powoli cofnęłam ociekającą wodą dłoń do środka i zamknęłam okno suchą ręką. – I co teraz, malutki? – szepnęłam, patrząc na motyla. – Jak ja osuszę ci twoje skrzydełka?

Zastanawiałam się, jak to jest w naturze, bo przecież motyle często muszą moknąć.

– Ciepły wiaterek – powiedziałam i zaczęłam na niego chuchać.

Z początku się nie ruszał, ale wreszcie, kiedy już robiło mi się słabo od tego chuchania, skrzydełka mu zadrgały i się otworzyły. Nigdy nie trzymałam na dłoni motyla, który siedziałby tak spokojnie, więc nachyliłam się, podziwiając ich cudowną barwę i misterny wzór.

– Prawdziwa piękność z ciebie – szepnęłam. – Ale dziś nie powinieneś wracać na zewnątrz, bo mógłbyś utonąć. Zostawię cię na parapecie, żebyś widział swoich przyjaciół za szybą, a jutro rano cię wypuszczę, dobrze?

Bardzo leciutko ujęłam go czubkami palców i umieściłam na parapecie. Obserwowałam go przez chwilę, zastanawiając się, czy motyle śpią ze skrzydełkami otwartymi, czy złożonymi. Ale oczy już mi się kleiły, więc zaciągnęłam zasłony, żeby to malutkie stworzenie nie skusiło się, by polatać po pokoju i przysiąc gdzieś na suficie. Nie zdołałabym go stamtąd zdjąć i mogłoby umrzeć z głodu albo ze strachu.

Wzięłam świecę, przeszłam przez pokój i położyłam się do łóżka, szczęśliwa, że udało mi się uratować jakieś życie. Pomyślałam, że może to dobry znak i tym razem tata nie zostanie ranny.

– Dobranoc, motylku. Śpij dobrze do rana – powiedziałam cichutko, zdmuchując świeczkę, i zasnąłam.

*

Kiedy się obudziłam, zobaczyłam na suficie smużki światła przedzierającego się między zasłonami. Były złotawe, co oznaczało, że świeci już słońce. Przypomniałam sobie o motylu. Wygramoliłam się z łóżka i ostrożnie rozchyliłam zasłony.

– Ojej!

Wstrzymałam oddech na widok mojego motyla. Ze złożonymi skrzydełkami leżał na boku, a jego malutkie nóżki sterczały w powietrzu. Skrzydła od spodu były brunatne. Wyglądał jak wielka, całkiem martwa ćma. Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy dotknęłam go, by jeszcze na wszelki wypadek sprawdzić, ale się nie poruszył. Zrozumiałam, że jego dusza uleciała do nieba. Może to ja go zabiłam, bo nie wypuściłam go wczoraj. Tata zawsze mówił, że trzeba uwalniać je jak najprędzej, a ten, choć nie w szklanym słoju, to jednak był zamknięty. A może umarł na zapalenie płuc lub bronchit, dlatego że tak strasznie przemókł?

Stałam, patrząc na niego, i wiedziałam już, że to bardzo zły znak.

Jesień 1944 roku

Lubię czas, kiedy lato mija i wszystko zaczyna zapowiadać długi zimowy sen. Te mgły wiszące przy szczytach drzew, niczym ogromne pajęczce sieci. Powietrze pachnące wilgotnym drewnem i fermentacją (to słowo poznałam niedawno, kiedy byłam na szkolnej wycieczce w browarze i zobaczyłam, jak z chmielu warzy się piwo). Maman mówiła, że ją ta angielska pogoda wprawia w ponury nastrój i że chciałyby mieszkać gdzieś, gdzie przez cały rok świeci słońce i jest cieplej. Ja uważałam, że to byłoby strasznie nudne. Obserwowanie cykli przyrody, tego, jak niewidzialne magiczne dłonie przemieniają szmaragdowy kolor liści buczyny w połyskujący brąz, wydawało mi się ekscytujące.

Może dlatego, że moje życie było bardzo monotonne.

Odkąd wyjechał tata, nic się nie działo. Skończyły się przyjęcia, nie było gości – z wyjątkiem wujka Ralpha, który pojawiał się dość często z kwiatami i francuskimi papierosami dla Maman, a od czasu do czasu miał też czekoladę dla mnie. Ta monotonia w końcu została przerwana wyjazdem do Kornwalii, do babci, którą zawsze odwiedzaliśmy w sierpniu. Zwykle jechałyśmy tam z Maman, a tata dołączał na kilka dni, jeśli mógł dostać urlop, ale w tym roku Maman oznajmiła, że jestem już dość duża, by jechać sama.

– To ciebie babcia chce zobaczyć, Posy, nie mnie. Mnie nie znosi, zawsze tak było.

Byłam pewna, że to nieprawda, bo kto mógłby nie znosić Maman, takiej ślicznej, z tym jej cudownym śpiewnym głosem. Jednak musiałam zaakceptować jej decyzję. W długiej drodze tam i z powrotem miała towarzyszyć mi naburmuszona Daisy.

Babcia mieszkała tuż przy wiosce o nazwie Blisland, leżącej po zachodniej stronie wrzosowiska Bodmin Moor. Dom był dość duży, elegancki, ale jego szare mury i ciężkie ciemne meble zawsze sprawiały na mnie przygnębiające wrażenie po pełnych światła wnętrzach Domu Admirała. Za to okolica była fantastyczna. Kiedy przyjeżdżał tata, chodziliśmy na długie spacery, by zbierać próbki wrzosów i piękne polne kwiaty, które rosły między janowcami.

Niestety, tym razem taty nie było, a w dodatku codziennie padał deszcz, co wykluczało wycieczki. Podczas długich mokrych popołudni babcia uczyła mnie stawiać pasjansa i jadłyśmy mnóstwo ciasta, ale cieszyłam się, kiedy nadszedł czas powrotu. Przed Domem Admirała ja i Daisy wysiadłyśmy z zaprzężonego w konika wozu, którym Benson (miał pewnie ze sto lat i pełnił częściowo funkcję naszego ogrodnika) jeździł czasami po kogoś na stację. Zostawiłam tamtych dwoje, zajętych przenoszeniem bagaży, i wbiegłam do domu, by poszukać Maman. Usłyszałam dobiegające z gramofonu dźwięki *Blue Moon*. W salonie zastałam Maman tańczącą z wujkiem Ralphem.

– Posy! – zawołała, odsuwając się od wujka, i podeszła, by

mnie uściskać. – Nie słyszeliśmy, kiedy podjechaliście.

– Pewnie to przez muzykę – powiedziałam, myśląc, jak pięknie wygląda, taka szczęśliwa, zarumieniona, z tymi swoimi długimi ślicznymi włosami, które musiały wymknąć się z zapinki i opadały na plecy niczym złocista rzeka.

– Świątowaliśmy, Posy – odezwał się wujek Ralph. – Są nowe dobre wiadomości z Francji. Wygląda na to, że Szwaby wkrótce się poddadzą i wojna wreszcie się skończy.

– Och, to dobrze – odrzekłam. – To znaczy, że tata niedługo wróci.

– Tak.

Na chwilę zapanowało milczenie, po czym Maman kazała mi iść do mojego pokoju, żebym się umyła i przebrała po długiej podróży. Ruszyłam na górę z nadzieją, że wujek Ralph ma rację i tata naprawdę szybko się tu pojawi. Kiedy w wiadomościach radiowych zaczęto opowiadać o sukcesach po lądowaniu w Normandii, liczyłam, że lada dzień go zobaczę. Ale minęły trzy miesiące, a tata nadal nie wracał. Maman pojechała go odwiedzić, kiedy miał krótki urlop, bo tak było łatwiej. Pytałam, dlaczego jeszcze nie ma go w domu, skoro wojna już prawie wygrana, ale Maman tylko wzruszała ramionami.

– Jest bardzo zajęty, Posy, będzie tu, kiedy będzie.

– A skąd wiesz, że nic mu się nie stało? Pisał do ciebie?

– *Oui, chérie*, pisał. Cierpliwości. Wojny nie kończą się ot tak, w jednej chwili.

*

Coraz bardziej brakowało jedzenia. Zostały nam tylko dwie kury, którym nikt nie ukręcił głowy, bo były najlepszymi nioskami. Ale nawet one zdawały się przygnębione, chociaż codziennie chodziłam porozmawiać z nimi, skoro Benson twierdził, że szczęśliwe kury znoszą więcej jajek. Moja paplanina jednak jakoś nie działała – od pięciu dni żadna z nich, ani Ethel, ani Ruby, nie zniosła ani jednego jajka.

– Gdzie jesteś, tatusiu? – pytałam niebo, myśląc, jak by to było cudownie zobaczyć nagle wyłaniającego się spomiędzy

chmur spitfire'a, w którym byłby tata i zniżał go do lądowania na rozległym trawniku.

Nadszedł listopad, a ja każdego popołudnia po szkole wędrowałam wśród podmokłych, przemarzniętych zarośli, by nazbierać coś na rozpałkę do kominka w pokoju dziennym, gdzie siedziałyśmy z Maman wieczorami, bo był mniejszy i łatwiej go było ogrzać niż ogromny salon.

– Wiesz, Posy, myślałam o Bożym Narodzeniu – powiedziała Maman pewnego dnia.

– Może wtedy wróci już tata i spędzimy je razem.

– Nie, nie będzie go jeszcze w domu, a moi przyjaciele zaprosili mnie na święta do Londynu. Oczywiście ty byś się tam strasznie nudziła, bo będą sami dorośli. Napisałam więc do twojej babci i ona chętnie przyjmie cię na święta.

– Ale ja...

– Posy, zrozum, proszę, nie możemy tu zostać. W domu jest lodowato, nie mamy węgla na opał...

– Ale jest drewno i...

– Nie ma co jeść, Posy! Babcia ostatnio straciła gosposię i zanim znajdzie sobie tam na miejscu kogoś innego, chce, żeby przyjechała do niej Daisy.

Przygryzłam wargę, bliska łez.

– A co, jeśli wróci tata i zobaczy, że nas nie ma?

– Napiszę do niego i go zawiadomię.

– Może nie dostać listu, a poza tym wolę zostać tutaj i głodować, niż spędzać święta u babci! Kocham ją, ale jest stara i jej dom to nie mój dom, i...

– Dosyć! Już postanowiłam. Pamiętaj, Posy, wszyscy musimy robić, co się da, by przetrwać jakoś ostatnie miesiące tej okrutnej wojny. Przynajmniej będzie ci ciepło, będziesz pod dobrą opieką i najedzona. To sporo, kiedy na świecie tyłu głoduje, a nawet umiera.

Nigdy nie widziałam, by Maman aż tak się zezłościła, więc choć strasznie chciało mi się płakać, przełknęłam łzy i skinęłam głową.

– Tak, Maman.

Potem zdawało się, że przynajmniej mama poweselała, bo ja i Daisy snułyśmy się po domu niczym blade widma skazane na wieczne potępienie.

– Gdybym miała jakikolwiek wybór, tobym nie pojechała – rzędziła Daisy, pomagając mi pakować walizkę. – Ale pani mówi, że nie ma pieniędzy, żeby mi płacić, to co mam robić? Za guziki się nie wyżyje, prawda?

– Na pewno będzie lepiej, jak skończy się wojna i wróci tata – pocieszyłam ją i przy okazji siebie.

– No, gorzej już chyba być nie może. Wszystko tu się posypało – mruknęła ponuro. – Coś mi się zdaje, że ona pozbywa się nas obu, bo jej tu zawadzamy, a chce sobie...

– Co? – spytałam.

– Nic, nic, młoda damo, ale im szybciej przyjedzie twój tata, tym lepiej.

*

Dom miał być zamknięty przez następny miesiąc, więc Daisy wzięła się do gruntownego sprzątanía.

– Po co tak się męczysz, skoro nikogo tu nie będzie? – spytałam.

– Dość tych pytań, panno Posy. Lepiej mi pomóż – powiedziała, biorąc stertę białych prześcieradeł i strzepując jedno po drugim, aż otwierały się niczym żagle.

Razem przykryłyśmy nimi łóżka i meble w dwudziestu sześciu pokojach. Wreszcie wyglądało tu tak, jakby do domu wprowadziła się wielka rodzina duchów.

Od kiedy zaczęły się ferie, brałam kredki i blok i rysowałam, co tylko udało mi się znaleźć w ogrodzie. Nie było to łatwe, bo wszystko wymarło. Pewnego zimnego grudniowego dnia zabrałam do ogrodu szkło powiększające. Śnieg jeszcze nie padał, ale na ostrokrzewach osiadł szron. Zdjęłam rękawiczki, by dobrze przytrzymać szkło i obejrzeć przez nie łodygi. Tata nauczył mnie, gdzie szukać maciupeńkich jajeczek modraszków.

Nagle zobaczyłam, jak otwierają się drzwi rotundy i wyłania się stamtąd zaróżowiona zdyszana Daisy. Niosła całe naręczce

swojego ekwipunku do sprzątanania.

– Panno Posy, co ty tu robisz bez rękawiczek? – skarciła mnie. – Włóż je natychmiast, bo jeszcze dostaniesz odmrożeń i palce ci odpadną.

Ruszyła do domu, a ja spojrzałam na drzwi rotundy, które pozostały niedomknięte. Bez namysłu wślizgnęłam się do środka. Drzwi się zatrzasnęły.

Było bardzo ciemno, ale oczy szybko przywykły mi do mroku i mogłam dostrzec zarysy młotków do krykieta i bramek, które składał tu tata, a także zamkniętą szafkę ze strzelbami, które nie pozwalał mi nigdy otwierać. Spojrzałam na schody prowadzące do pokoju taty i zaczęłam bić się z myślami. Skoro Daisy zostawiła otwarte drzwi na dole, to może również te na górze. Korciło mnie strasznie, żeby zobaczyć, co tam jest...

W końcu ciekawość zwyciężyła i ruszyłam szybko po krętych schodach, żeby zdążyć, zanim wróci Daisy. Kiedy dotarłam na górę, złapałam za gałkę wielkich dębowych drzwi i ją przekręciłam. Najwyraźniej Daisy ich nie zamknęła, bo od razu ustąpiły. Jeden krok i znalazłam się w tajnym gabinecie taty.

Pachniał pastą do podłogi. Okrągłe ściany zalewało światło wpadające przez okna, które właśnie umyła Daisy. Na ścianie przed sobą zobaczyłam wielką rodzinę admirałów. Motyle były ułożone w rzędach po cztery, za szkłem w złoczonej ramie.

Gdy się zbliżyłam, zdumiało mnie, jak motyle mogą pozostać w tak absolutnym bezruchu, i zastanawiałam się, co mogą znaleźć do jedzenia w swoim szklanym więzieniu.

A potem dostrzegłam główki szpilek, którymi je przypięto. Rozejrzałam się po innych ścianach. Na nich też było pełno motyli, które schwytałismy przez te lata.

Jęknęłam z przerażenia, obróciłam się na pięcie, zbiegłam ze schodów i wyskoczyłam do ogrodu. Widząc, że od strony domu idzie tu Daisy, skręciłam i rzuciłam się w zarośla za rotundą. Kiedy byłam już dość daleko, padłam na ziemię przy korzeniach wielkiego dębu, żeby złapać oddech.

– One nie żyją! Są martwe! Martwe! Jak mógł mnie tak okłamywać?! – krzyknęłam, szlochając.

Długo nie wychodziłam z lasu, aż wreszcie usłyszałam, że Daisy mnie woła. Chciałam spytać tatę, dlaczego zabił te piękne istoty i porozwieszał je sobie jak trofea, dlaczego chciał je oglądać martwe na ścianie.

Ale oczywiście nie mogłam o to spytać, bo go tu nie było. Musiałam wierzyć, że był jakiś naprawdę ważny powód tych mordów w naszym motylim królestwie.

Wstałam i ruszyłam wolno do domu, wciąż nie znajdując żadnego wytłumaczenia. Wiedziałam tylko, że nigdy więcej nie chcę już zaglądać do pokoju na szczycie wieży.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).